№ 28. Warszawa, dnia 30 Czerwca (12 Lipca) 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Dwa tygodnie już upłynęło od chwili, w której mściwy czy szalony wyznawca nieurzeczywistnionej nigdy idei wbił sztylet w pierś prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, a dotąd jeszcze nie mogą przyjść do równowagi umysły naszych polityków, zasiadujących „Patelnię“ i inne werendy do „pateln“ podobne. Prawda, że do podtrzymania w tem naprężeniu umysłów ludzkich, przyczyniają się i same dzienniki, rozwałkowujące rzecz już raz podaną z dziwnem frazeologicznem mistrzowstwem, a choć nic już nowego powiedzieć nie mogą, każde nowe sprawozdanie jest tak prowadzone, że czytelnik, choćby na samym jego końcu, spodziewa się czegoś ciekawego. Że nowalii żadnej nie znalazł, to już nie jest winą sprawozdawcy, ale wyczerpanego niewyczerpanie przedmiotu, zastanawiają jednak cierpliwego czytelnika gazet wykrzykniki i znaki zapytania.

— I co myślał Caserio, morderczy cios wymierzając w pierś Carnota?! — woła gazeta X, poraz szósty omawiając wiadomy przedmiot.

— Rzeczywiście co on sobie myślał? — powtarza w duchu polityk siedzący na werendzie, zapominając w tej chwili o kawie podanej.

— Naszem zdaniem czyn ten jest godny potępienia—odzywa się inna gazeta.

— Naturalnie! — potwierdza cicho polityk siedzący na werendzie, którego kawa już całkiem wystygła.

Owe pytajniki i wykrzykniki stanowią okrasę jednej i tej samej potrawy wciągu paru tygodni codziennie nam i o jednej godzinie podawanej. Nie dziwimy się jednak panom dziennikarzom naszym: liońska katastrofa przypadła im w sam raz na sezon ogórkowy—toż to na ich młyn woda. O czem pisać, czem tu łokciowe szpalty zapełnić? łamał sobie niejeden głowę — aż tu spokojny prezydent rzeczypospolitej francuzkiej, człowiek Bogu ducha winny — pada pod ciosem morderczym.

Jest huczek...

Idę Krakowskiem-Przedmieściem nic nie wiedzący o czynie zbrodniczym, aż tu okropny rejwach między posłańcami. Biegają na lewo, na prawo, coś krzyczą, temu to temu z przechodniów wciskając do rąk za dziesiątkę zadrukowany kawał papieru. Niezatrzymałem się jednak, śpiesząc do redakcyi pewnej, gdzie miałem osobisty interes.

Co, u kata, i tutaj jakiś ruch niezwykły...

W drzwiach nagle rozwartych wpada sam redaktor.

Zatrzymuję go...

— Panie—odzywam się.

— Zamordowałem Carnota—nie mam czasu!...

I zatrzasnąwszy drzwi za sobą znika mi nagle z oczu.

Zostałem sam.

— Kogo on zamordował?—szepnąłem w duchu, bo niedosłyszałem dobrze wymienionego nazwiska prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej. — E! — myślałem dalej—trzeba urządzić rejteradę, żeby wypadkiem mnie nie wzięto za wspólnika w morderstwie pana redaktora.

Oczywiście, żem zaledwie odszedł z przed drzwi tak gwałtownie przed nosem mi zamkniętych, dowiedziałem się o wszystkiem. Posłańcy wywijając „nadzwyczajnemi dodatkami“ wrzeszczeli na całe gardło:

— Śmierć Carnota—pięć kopiejek!

Dorożkarze obracając się za siebie, odzywali się do siedzących na kozłach towarzyszów:

— A to ci go dźgnął!

— Wiesz? — chwytając mnie za łokcie zawołał p. Bonawentura.

— Panie Boże wszechmogący, a to ci gwałt! — odezwałem się, świadom już wszystkiego.

— I co myślisz?—wołał Bonawentura nie puszczając mych łokci.

— Co ja myślę—mój dobrodzieju? Myślę, myślę, że gdyby Wisła sześć tysięcy wsi zalała i sto tysięcy zatopiła chłopów, nie ściskałbyś mnie tak uczciwie za łokcie, ani szanowny redaktor nie przejąłby się tak mocno tym wypadkiem, żeby mi przed samym nosem drzwi zamknąć.

— No—ale bo widzisz, to Carnot!

— Wiem, że nie Bartek...

— Anarchia!

— I co ona tak bardzo pana obchodzi?

— W przywidywaniu—wojna...!

— Oho!...

— Do widzenia—nie mam czasu—szerzej pogadamy u Blickliego o piątej.

Pożegnałem z przyjemnością nowonarodzonego polityka, nie będąc wcale ciekawy jego wniosków wypowiadanych u Blickliego.

Każdy czyn niemoralny oburza uczciwego człowieka, mord liońskі może bardzo wiele posępnych nasunąć myśli. Źle się dzieje na ziemi, skrzywiła się oświata, ludzkość zatargana do wnętrza, a rady nie masz...

Nie masz?...

Jest—ale ludzie jej nie widzą, a jeśli widzą to opacznemi dążą do celu drogami. Potrzeba wiele ukochać i wiele się zrzec z własnych upodobań, dumy i pychy, potrzeba wiele zagoić ran, wielką miarę sprawiedliwości wymierzyć, ażeby zagniewanego przebłagać Boga. Ale słowa a czyn to dwie rzeczy zupełnie różne. Bogacz wzdycha nad łachmanami nędzarza, lecz skarbiec swój na cztery zamknął spusty.

Czy stoimy przed świtem nowych prawd, czy przed powrotem do dawnych?

Wszędzie ciemność i ciemność!

Wiemy tylko. że haniebnie się kończy wiek

XIX-ty, ów rodzic humanitarnych idei, owa duma ludzkiego postępu.

Ciekawą bardzo rzecz, dla mnie przynajmniej, a ciekawą ze względu na ustrój mózgownic ludzkich, dziwactwa przekonań, głupiego pojęcia wstydu—wyczytałem w jednym z ostatnich numerów, wzmagającej się ciągle na siłach sto dwudziestu kilkoletniej staruszki, *Gazety Warszawskiej*. Korrespondent z gubernii Wołyńskiej, pisząc o deszczach tegorocznych, jako klęsce, która spowodowała zawód nadziei gospodarzy, wspomina o dziwnej apatyi tamtejszego społeczeństwa, o braku wszelkiej inicyatywy i jakiejkolwiekbądź zaradności. „Wśród ziemian naszych martwota i cisza—mówi.—Żydzi za nas myślą i radzą, żydzi łączą się w kółka i spółki, co więcej, oni to kopy nasze w polu obliczą, omłot obrachują, zboża zabiorą, a my, zachowując się biernie, w końcu roku widzimy, że w stodole pusto i w kieszeni także pusto.“

Narzekamy na żydów—nie pytam słusznie czy nie słusznie? Jak tam jest, zapominamy o jednej prawdzie, że ktoś miejsce niezajęte zająć musi, w domu czy na polu; że proszona czy nieproszona ręka obca zgarnie nam złoto z przed nosa, gdy własna się poleni; że ktoś inny myśleć musi, gdy głowa moja jest jak stodoła, pustą. To też, korzystając z tej nieudolności myślenia, czy duchowego lenistwa—donosi dalej korrespondent wspomnianej wyżej gazety—ci co umieją z niedołęztwa ludzkiego korzystać, w promieniu kilkumilowym zrobili zmowę, ażeby cenę rzepaku oznaczyć na 1 rubla za pud. W obec, miejscowego nawet, dużego zapotrzebowania tego produktu, który szczególnie do miejscowych olejarni jest poszukiwany, należałoby stanowczy stawić opór, bronić się całą mocą od wyzysku. Na przeszkodzie jednak do obgadania palącej tej kwestyi, stoi brak łączności towarzyskiej; o żadnych zebraniach mowy być tu nie może z powodu...

Zgadnijcie powód!...

— Za lepszych czasów mogłem przyjmować — dziś nie sposób!

Co to ma znaczyć?

— Dawniej przy stole moim zastawionym suto półmiskami i butelkami węgrzyna czy szampana, mogłem godnie przyjąć sąsiadów—obecnie mi nie stać na wino ni kucharza.

Co za tem idzie?

Zmarnieć musi obrona własnych interesów — z powodu próżnej piwnicy i spiżarni; z powodu próżnej piwnicy i spiżarni nie mogą się zebrać ludzie, by rozwiązać dławiącej ich pętli; przyszłość zagrożonego społeczeństwa, zostawioną jest na łaskę lub niełaskę wyzyskiwaczy z powodu próżnej piwnicy i spiżarni.

Śmieszne by to było, gdyby nie było smutne.

Ale nie przesadził korrespondent gazety, wiemy i my coś o tem. Brak doborowych win, licha zastawa stołu, rumieńcem wstydu wybiega na twarz panów wołyńskich. Może ten wstyd jest słuszny, jeżeli z winy własnej, życiem nad możność bez oglądania się na jutro, i objęcia okiem szerszego horyzontu—mają suknie łatane i śpichrze puste — lecz pojmujemy wstyd pochodzący z popełnionego grzechu—tu rehabilitacya każe o wszystkiem zapomnieć — nie pojmujemy zaś wstydu, którego powodem jest brak — sutego przyjęcia.

„Nie daję bażantów, bo niemam—lecz oto macie chleb czarny i mleko zsiadłe, panowie sąsiedzi.—I przy takim podwieczorku możemy pomówić o rzeczach nas obchodzących, stanąć zwartym szeregiem w obronie naszych ziemiańskich interesów, a kiep ten, kto się skrzywi na strawę oną!“

Po takiej przemowie, zostawałoby panu sąsiadowi do wyboru: albo zjeść mleko zsiadłe i uczciwym ziemianinem zostać, albo pozostać...

Lepszy chleb czarny i mleko zsiadłe.

Wybaczcie mi, ale raz jeszcze powtarzam, że wstyd nie na miejscu. Z różnego pieca chleb jadłem, nie obcem mi było z pałaców sterczących dumnie zstępować do lepianek, ale podobnego rodzaju wstydu zrozumieć nie umiałem. Nie chcę go nazwać po imieniu, lecz się domyślicie sami zbyt łatwo z jakich ono zgłosek się składa. Pojmuję siłę nawyknień, przesądów, wielką trudność w zastosowaniu się do nowych warunków—lecz wiem też, co może rozum i wola silna. Ha! chyba wam brak onych darów Ducha Świętego, w takim razie proście Boga o tę łaskę łask wszystkich, bo przed wami ogromny smutek, ogromna ciemność rozciąga się.

Wspomniawszy o „Gazecie Warszawskiej“ o onej przeszło stu dwudziesto-letniej staruszce, muszę z zadowoleniem tu dodać, że wcale starości na niej nie znać, że coraz więcej tchnie życiem zdrowem i do każdego uczciwego zaprasza się domu. Szata stara, jaką nosi na sobie, szanowną jest zawsze i ma pociągający urok a jest to jedna z najdawniejszych gazet, jakie się na gruncie naszym urodziły.

Opuściwszy na chwilę—idąc za korrespondentem poczciwej staruszki—grunt warszawski, powracam znów na śmiecie własne, by jak kura pogrzebać się w niem nieco i coś zeń wydobyć ku pocieszeniu waszemu.

— Może perłę?

— Ba, ba—czego wam się zachciewa! Dość byłoby ziarnko pszeniczne, odarte z plew wszelkich wam pokazać. A no, znalazłoby się tam ich parę, ale jestem w tak zgryźliwem usposobieniu, że nie wiem czy uda mi się w tej chwili manipulacya podobna.

Coraz ciszej i ciszej u nas. Niebiosa się wypogodziły, Wisła, nie mało szkód przyniosłszy wiejskim chałupom, ustatkowała się pomału, na mokotowskiem polu lekki wietrzyk czubkami traw kołysze: ani dżokejów, ani anglizowanych rumaków, ani totalizatora nie widać! Ogórkowy sezon rozpościera swoje panowanie; ci, co mogli, wyruszyli na willegiaturę, co więcej jeszcze mogli—do wód zagranicznych; pozostała hołota, do jakiej i wasz najniższy służka należy, by się w śmieciu spraw codziennych grzebać i o tem to o owem gawędzić z wami.

Ubóstwo okrutne zdarzeń, wrażeń żadnych, a jeżeli są, to o nich zbyt głośno mówić nie wolno. Zapowiedziane corso kwiatowe połączone z *bataille des fleurs* jakoś do skutku nie przychodzi; może zabrakło już ochoty do zabaw, a może kwiatów niema.

Są! Dała nam tego dowód wystawa kwiatowa urządzona we własnej siedzibie Towarzystwa ogrodniczego, w Bagateli. Wypada mi pomówić o niej, pochwalić..

Wzdycham.

Chciałoby się pochwalić, cóż — gdy: *amicus Plato, sed magis amica veritas.*

— Ech! daremno się wypierałeś przy wyknień emeryta—powiesz czytelniczko moja: — Stary jesteś i zrzęda do tego!

Ni do pierwszego, ni do ostatniego się nie przyznaję, ale, pomimo łaskawości reporterów dzienników naszych, którzy hymny pochwalne śpiewali wystawie w mowie będącej—z bagateli zawoła się Bagatela. Na miasto przeszło półmilionowe, które już raz, przed laty, zapoznało nas z bogactwem swej ogrodowej kultury, obecna wystawa, jeżeli nie przewyższyć, to dorównać dawnej powinna. Prawda, że nie wszystkie firmy, mogące się pochwalić doskonałym wyborem kwiatów, reprezentowane były; że Frascati świeciło pustką, Willanów był nieobecny, prowincya przedstawicieli swoich nie miała.

Ale kto temu winien?..

Napewno nie wiemy.

Może Towarzystwo ogrodnicze źle się koło swej własnej sprawy zakrzątało, może spotkało je, nie zrozumiana przez nas odmowa, może... Bądź co bądź - taka jaką była wystawa, nie złą by była na prowincyonalne miasteczko, lecz nie na Warszawę. Widzieliśmy kwiaty dość piękne, bogatą kollekcyę róż wystawioną przez Kronenberga—ale tego wszystkiego, *en masse*, biorąc—za szczupło było, za ubogo. Przyczyniło się też do niezbyt dobrego wyglądu kwiatów, to wczesne ich zwiędnięcie, a skromne odnowienie. Kto nie był w pierwszym dniu wystawy, wyszedł ztamtąd zwarzony, jak róże i powoje, na które nam patrzeć kazano. Prawdziwie piękną była rabatka z bratków ułożona na gazonie z lewej strony pałacu od ogrodu, za to kląb środkowy, przed samym frontem głównego budynku, pozostał w zupełnem zaniedbaniu. Nie było ani jednego gazonu, któryby mógł iść w zawody z gazonami w Saskim ogrodzie lub Łazienkach. A wieńce kwiatów, ładne wiązanki, gwiazdy i poduszki, choćby nawet firmy „Flory“ odznaczonej medalem złotym— nie wyróżniały się niczem od wystaw kwiatowych sklepów, na które codziennie patrzymy przez jednotaflowe szyby okien. Prawda, że Towarzystwo, w nowej siedzibie swojej niezupełnie zagospodarowało się, ale — czy nie lepiej byłoby poczekać z wystawą, niż zgrzeszyć pośpiechem. — Materyalny rezultat za to onej wystawy, nie pozostawił nic do życzenia. Sprzedano przeszło 3.000 biletów wejścia, co w rezultacie stanowiło przeszło 1.500 rs. dochodu. Napływ publiczności był wielki, bo spodziewano się... no, czegoś się więcej spodziewano. Nie obchodzą nas tu głosy dzienników po większej części dmące w pochwał fanfary, ale zdanie zwiedzającej publiczności, od której uznania, przecież coś Towarzystwu zależy. Publiczność została zawiedzioną i sutego wynagrodzenia na rok przyszły oczekuje.

Druga z rzędu zabawa, przeszła za to oczekiwanie chciwych wrażeń mieszkańców syreniego grodu. Były nią — tradycyjne Wianki, choć nie wiele w niej z tradycyi zostało. Wszystko się uszlachetnia, wypięknia, cywilizuje, że się tak wyrazimy — a jednak...

Nie są to dawne Wianki, owy prastary obchód sobotek w tajemniczą noc Ś-go Jana.

Nie można z tego robić zarzutu organizatorom dorocznej zabawy. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis.* Za wianuszkiem skromnym, z barwinku lub ruty splecionym, nie pogoni młodzieniec i chciwą dłonią go nie chwyci przy radośnym oklasku uszczęśliwionej dziewczyny; młodzian i wianek ujęty, nie rozmarzą dziś serduszka dziewczęcia, niewierzącej we wróżby świętojańskiej nocy; skokiem jelenia nie przesadzi nikt dzisiaj płonącego stosu, nie zabrzmi śmiech swobodnej uciechy, śmiech szczery, prosty, z okrzykiem na fale wiatru rzucony.

To trudno!

Zmieniają się czasy i my z niemi. A jednak?..

Smutno mi po wiankach dawnych.

— Pewnie poetą jesteś?..

— Tak!

— Cha-cha-cha...

— Śmiej się sobie — ja ci wtórować nie będę.

Obchód tegoroczny wianków, z powodu nadmiernego wylewu Wisły, nie odbył się w dniu tradycyą przeznaczonym. Pod koniec Czerwca dopiero urządzono zabawę, wspaniałą w całem tego słowa znaczeniu. Niebrakło pięknie ustrojonych łodzi, przesuwających się po falach wiślanych, ni beczek smolnych, płonących po drugiej stronie rzeki, ni ogni bengalskich, ni trzaskających rac, siarczystych młynków, śpiewów Lutni, huku armat nawet. Tłum stutysięczny na oba wyległ brzegi, zapełnił most, do północy przeczekał, aż wszystkie pieśni przebrzmiały, wszystkie światła zagasły. Prastary to zwyczaj, w okazalsze tylko szaty przebrany, ale piękny, nęcący zawsze.

Ostatnia to już była zabawa w opustoszającej się coraz bardziej Warszawie. Upał do nieznieśienia. Mimo wodociągowych kranów przy kamienicach i systematycznego polewania ulic— kurz nieraz kłębami się wzbija i zasypuje oczy przechodniom. Mniejsza jednak o ten kurz uliczny, sto razy gorszą jest klęską—to trzepanie mebli, dywanów i tym podobnych rzeczy w wązkich zazwyczaj dziedzińcach domów mieszkalnych.

Jeden z dzienników naszych, ubolewając nad tem nieszczęściem mieszkańców, wyższych pięter szczególnie, którzy własnemi piersiami muszą wdychać różne bakterye unoszące się wraz z kurzem w powietrze—podaje myśl, urządzenia osobnych trzepalni. Zapewne, że to dobre — ale nim nastąpi, wiele wody w Wiśle naszej upłynie. Jabym w obecnej chwili zgodził się na jedno tylko. Oto: aby owo trzepanie, odbywające się już z konieczności w dziedzińcach — uwolniło raz nazawsze od tej przyjemności schody, szczególnie bocznych oficyn i w ogóle te, które do pryncypalnych rościć pretensyi nie mogą. Nie składamy tu winy na lenistwo służących tylko, które, nie chcąc zejść na dół, meble, dywany i materace na schodach trzepią: Same właścicielki owych ru-

chomości z trzepaczką uwijają się nieraz, a niechcąc prezentować się w dziedzińcu kamienicznym, z sił wszystkich walą w poduszki i pierzaty na schodach, jakby je na własność sobie zabrały.

Jeżeli nie łatwo dojść do ładu z wygadaną pokojówką, cóż dopiero z samą panią. Zrobioną w najdelikatniejszy sposób uwagę weźmie za obrazę, a chcąc przekonać impertynenta, że mało na jego prośby zważa — wydobywa z kąta zapomniane jakieś rupiecia, na których grubą warstwą kurz osiadł od niepamiętnych czasów i każe Maryśce do zupełnego doprowadzić je porządku. Tu już nie tylko przez schody przejść nie możesz, ale i w mieszkaniu własnem dławiącego kaszlu dostajesz. Dla ukoronowania wszystkiego, samowar wynosi się na też schody i dymi sobie w najlepsze. Swąd, kurz wyprowadzają ciebie z cierpliwości. Stukasz do drzwi obrażonej niewiasty i gdy ją ujrzysz, uderzasz zrazu w prośbę, gniew na później zostawiając.

— Pani łaskawa! Samowar swędzi nie do wytrzymania, jest przecie komin w kuchni.

Drzwi ci się zamykają przed nosem.

Skarga do gospodarza czy rządcy domu nie na wiele się przyda.

Ale na wszystko jest rada, ja przynajmniej na samowar znalazłem. — Ot, wlewałem do środka, na węgle po parę naparstków wody. Żar przygasał, Maryśka dosypywała, dmuchała, badała wnętrze samowaru — ale jej starania psuł zawsze naparstek.

— Kiedy ty nakoniec podasz samowar? woła poirytowana jejmość.

— A kiej, prosę pani ni jak kipić nie chce.

Wyniesiono przedmiot mojej nienawiści, dla bliższego zbadania. Pojawił się jeszcze parę razy, ale zakipiać na schodach nie chciał.

— Postaw go w kuchni, w komin.

Kipi.

Dziwiła się pani kaprysowi samowara, ale już się nie pojawił na schodach.

Coby to wymyślić jeszcze na trzepanie poduszek i materacy?

Do rozmaitych udogodnień, jakie corocznie przybywają Warszawie, przybywa jeszcze jedno. Oto, zakrzątano się, ażeby w Ogrodzie Saskim, prawdziwym raju dziecinnym, miejsce obok teatru, na którem dziatwa wraz z bonami i niańkami przebywać lubi, odpowiadało zupełnie celowi i stało się specyalnym zakątkiem zabaw maleństwa. Na samym środku owego placyku stanie, dzięki zarządowi nowych wodociągów, obfity zdrój z dobrą wodą filtrowaną. Magistrat na ten cel wyznaczył rs. 800, dzięki czemu dziatwa w porze upałów będzie miała ochłodę, ogrodowi zaś przybędzie, jedna więcej, ozdoba. Fontanna i basen mają być kute z piaskowca — roboty już się rozpoczęły pod kierownictwem inżyniera Preyssa.

??

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

XIX.

— Ślicznie mi szanowna pani wygląda,—mówi Dr Olski, siedząc w jadalnej sali w Kamieńcach, obok gospodyni domu. — Bardzom rad!... Gdyby wszyscy moi pacyenci poprawiali się tak szybko...

Potem zwrócił się do Stanisława.

— Czy niema ztąd bliższej drogi do Zagórowskiego lasu od Burzanieckiej granicy, p. Stanisławie? pyta—Powinna być!... Jadąc na Przytoki, omija się trakt główny i nie robi się koła.

Stanisław spojrzał nań ożywiony.

— Owszem; jest o wiele bliżej, jechać na Przytoki—odparł.—Ale do kogo tam doktorze?

— To cała historya, mój łaskawco — rzekł doktor.

— Cóż to za historya?...

— Aa!... Tak, tak! Ciekawe rzeczy nawet — odparł doktor flegmatycznie. — Opowiem z przyjemnością. Zawsze się coś ciekawego w moich doktorskich wędrówkach znajdzie... — i zerknął figlarnie w stronę Stanisława. — Dziś p. Lila jest bohaterką, kochany panie, i ona to figurować będzie w mej opowieści.

P. Kamieniecka spojrzała przelotnie na syna. Zbladł bardzo, nerwowym ruchem miął w rękach serwetę, warga drżała mu kurczowo.

Chcąc mu skrócić mękę oczekiwania, zwróciła się do doktora.

— Słuchamy, doktorze — rzekła prosząco. — I jam ciekawa.

— Kobieca słabostka—uśmiechnął się doktor. —Dziś, bodaj i p. Stanisław złorzeczy staremu, że maruda. Czy nie słyszeliście państwo o pożarze? tydzień temu?

Stanisław zerwał się z krzesła.

— Gdzie?—pyta—w Zagórowie?

— Nie—odparł pośpiesznie doktor. — Wybacz pan, żem cię przestraszył. Spłonęła tylko jedna chata na brzegu lasu, chata dozorcy drzewa. Nie było go w domu, gdy się to stało; przybiegł, spostrzegłszy płomienie, ale w zbitej gromadce wrzeszczących dzieciaków nie znalazł małego wnuczka, który został w chacie. Żyd, nie namyślając się, rzucił się do drzwi i płonąc sam jak żywa pochodnia, ukazał się wkrótce z dzieckiem na rękach, w chwili, gdy spadająca belka osunęła mu się na głowę. Padł za progiem zemdlony i kto wie co by się było stało, bo płonąca odzież i włosy obejmowały go ognistą falą, gdyby nie p. Lila, która przejeżdżała konno w towarzystwie kilku osób i stanęła jak anioł miłosierdzia przy boku nieszczęśliwego. Jej energii, jej poświęceniu zawdzięcza biedak życie. Własnemi rękami, własną odzieżą zdusiła płomienie, opatrzyła potem rany chorego i, gdym przyjechał, nie wiele miałem już do czynienia. Nasłuchałem się za to błogosławieństw Sury, żony Mośkowej, rozpadającej się z uwielbienia, a żyd tylko ręce do Jehowy wyciągał, bo mówić nie miał siły. Panna Lila o niczem nie zapomniała. Przysłała potem pościel i łóżka i garderobę dla pogorzelców; dzieciaki, którym przestrach podwoił widocznie apetyt, zajadały przysmaki z pałacowej śpiżarni, aż rozkosz była patrzeć. Niech to p. Stanisławowi przykrem nie będzie, alem się tego wszystkiego po dumnej i wykwintnej jego narzeczonej nie spodziewał. Nasza Hala, no, to co innego!

Stanisław stał wyprężony, ściskając z całej siły poręcz krzesła, i wpatrywał się w doktora dziwnie rozognionym wzrokiem. Duma biła mu z twarzy, a razem moc uczucia mgłą wilgotną przysłaniała gorejące oczy.

Nie mógł mówić, choć chciałby pytać, pytać bez końca. P. Kamieniecka, rozrzewniona, zapomniała o swej niechęci dla Lili. I dla niej to było niespodzianką.

— Mój doktorze—rzekła, zwracając na Olskiego załzawione oczy—wielką sprawiłeś mi radość! I ja nie przypuszczałam!... Tobie, staremu naszemu przyjacielowi, powiedzieć to mogę...

Doktor pocałował ją w rękę z galanteryą.

— A co, p. dobrodziejko? Nie prawdaż? pannę Lilę często teraz spotykam u chorego, wypieszczone jej rączki zmieniają opatrunki, poczciwe serce o wszystkich potrzebach jego rodziny pamięta...

Stanisław już nie słuchał; jak szalony wybiegł z pokoju, wpadł do stajni i konia osiodłać kazał. Po parogodzinnej jeździe szybki ruch uspokoił nieco wzburzone nerwy. Łagodny smutek osiadł na jego twarzy.

— Ach—wyrzucał sobie—co ona myśli o mnie? Postąpiłem jak tchórz, brakło mi nawet odwagi wyjawić jej prawdę.

Postanowił dziś jeszcze rozmówić się z matką i uśmiechnął mu się cień nadziei. Może matka przezwycięży teraz niechęć swą dla Lili i może...

Zaciął konia i popędził jak wicher. Od pewnego czasu, gdy tęsknota pożerała go prawie, coraz częściej zastanawiał się nad tem, czy istotnie potrzebuje wyrzec się szczęścia i Lilę poświęcić, dla wspomnień, wprawdzie bardzo smutnych, ale—ich oboje nie obciążających żadną winą. Bywały nawet chwile, kiedy walcząc zaciekle z gorącem pragnieniem zobaczenia ukochanej, rozpaczając nad koniecznością rozstania się z nią, czuł żal i niechęć do matki. Trwało to zwykle krótko i gromił potem sam siebie surowo; nie mniej zakiełkowało w jego umyśle i mogło z czasem między nim a matką sprowadzić rozdwojenie. Gdy drżał o jej życie, łatwiej mu było o swoim bólu zapomnieć; odkiedy obawa minęła, rozpaczał nad Lilą i nad sobą buntował się...

Opowiadanie doktora gwałtowny przewrót sprowadziło w jego myślach. Matka musi teraz pozbyć się uprzedzeń, skoro dumna, skryta dziewczyna zdradziła się i czynem dowiodła, jaką jest w istocie.

Coraz większa otucha zaczęła wstępować w jego serce; nie chcąc odkładać rozmowy, zawrócił konia ku domowi.

Matka oczekiwała go.

Miała na twarzy błogi uśmiech i rozradowane oczy.

— Mój Stasiu — rzekła bez wstępu — jakżem rada nieskończenie, żem się omyliła! Twoje serce oceniło widocznie Lilę najtrafniej. Siadaj tu przy mnie, pomówimy. Zbierałam się oddawna to uczynić, bo dłużej taki nieokreślony stosunek trwać-by nie mógł. Podczas mej choroby można było poprzestawać na listownem porozumiewaniu się, ale dziś...

— Właśnie z tem przyszedłem do ciebie matko —odparł Stanisław. —Nie potrzebuję ci mówić, jaką rozpaczą przejmuje mię myśl wyrzeczenia się Lili. Jeżeli jednak uważałabyś to za konieczne dla swego spokoju i szczęścia, musiałbym ją poświęcić, nie tając, że życie moje byłoby zawsze złamane. Ucieknę wtedy z tych stron zupełnie i włóczyć się będę po świecie, dopóki sił starczy...

— Ależ nie, nie, dziecko najdroższe!—zawołała przerażona matka. — Charakter Lili ukazał mi się teraz w innem świetle i mam już niejaką rękojmię, że będziesz szczęśliwym.

— Mówisz to szczerze, matko? — pyta, chwytając jej ręce Stanisław. — Za nic nie chciałbym abyś cierpiała, ale wyznaję, że ogarnia mnie szalona rozpacz, gdy pomyślę jak ta biedaczka cierpieć będzie! Moje uczucia nie wchodzą tu w rachubę, gdy o was dwie idzie...

Matka popatrzyła na niego z miłością; ostatnie skrupuły zamilkły. Cóż z tego, że Lila przypominać jej będzie najsmutniejsze chwile życia, skoro on szczęście osiągnie!

— Będę się starała zapomnieć o przeszłości, mój drogi, bylem was miała przy sobie—odparła głęboko wzruszona.—Dziwacznie los tem wszystkiem pokierował, postarajmy się stawić mu czoło odważnie.

— To prawda! Nie poznawszy Lili, byłbym pokochał inną kobietę i miłość moja nie stałaby się źródłem tylu cierpień dla ciebie, matko.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Cicho dziecko, nie mówmy już o tem. Musisz bezzwłocznie pojechać do Zagórowa, wyjaśnić powód kilkotygodniowej niebytności, no... i rzeczy pójdą dawnym trybem. Sądzę, że ciężka choroba, jaką przebyłam, dostatecznie usprawiedliwi cię przed narzeczoną i przebaczenie łatwo uzyskasz.

Stanisław atoli pewności tej nie posiadał. Czuł, że będzie miał z Lilą ciężką przeprawę.

— Szkoda, że dziś jechać nie mogę; już zapóźno — rzekł, zamyślając się. — Lękam się nieco i radbym jednej chwili być w Zagórowie!

— Czy tak?—Kamieniecka podniosła się żywo z kanapki. — A więc jedźmy oboje—zawołała. — Halinka wspominała, że p. Dolewska odwiedziła mnie w czasie choroby i przysyłano kilkakrotnie dowiedzieć się o moje zdrowie. Należy podziękować za pamięć.

Rozeszli się. Od Stanisława wszakże sen uciekł tej nocy zupełnie a i Kamieniecka spędziła ją, siedząc przed portretem męża i robiąc obrachunek z własnem sercem, dziwiła się: czemu ogarnia ją znowu lęk jakiś i niechęć dla Lili, której wszelkie rozumowania pokonać nie mogą?

XX.

Niespodziewanym a szczęśliwym wynikiem wizyty Kamienieckich w Zagórowie, było wymodlenie u Lili przyśpieszenia dnia ślubu.

Hrabia bezwiednie wyświadczył współzawodnikowi swemu przysługę. Lila zawiadomiona o wszystkiem o wiele łaskawiej przyjęła narzeczonego, a wielka serdeczność p. Kamienieckiej bardzo jej pochlebiła. Gubiła się w domysłach, nie wiedząc czemu ją przypisać.

Babka, wprost zapytana, z właściwym sobie brakiem taktu opowiedziała wnuczce, z najdrobniejszemi szczegółami, smutną historyą pojedynku. Lila, uznając niechęć Kamienieckiej za najzupełniej uzasadnioną, postanowiła tembardziej dopiąć swego. Smakowało jej zawsze to, co przychodziło z trudnością.

Stanisław, który się nie spodziewał takiego przyjęcia i na najgorsze był przygotowany, nie mógł prawie uwierzyć swemu szczęściu. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Rozkochanego wejrzenia nie zdejmował prawie z twarzy Lili, zdawała mu się jeszcze stokroć piękniejszą, lepszą, więcej kochania godną.

P. Dolewska napomknęła coś o pożarze: Kamieniecka podjąć to chciała, ale zarumieniona Lila usunęła się szybko na stronę, prosząc Stanisława, by starał się przerwać rozmowę. Ta jej skromność podbiła go ostatecznie.

— Moja ty wymarzona—szepnął wzruszony — czym ja wart takiego skarbu?

— Babciu, babciu! Jaka to była przepyszna scena — śmiała się potem Lila, gdy po odjeździe gości znalazły się same.

— Jacyż oni naiwni i jaka prosta droga wiedzie do ich serca!

— A widzisz, babciu?... Gniewałaś się... Tymczasem cała okolica rozbrzmiewa teraz hymnem pochwalnym na cześć moję, a ja — nigdy się szczerzej z głupoty ludzkiej nie śmiałam.

— Ej, figlarko, masz ty rozumek nie lada!— odparła ucieszona babka —Bogu dzięki, żeście się ze Stanisławem pogodzili; rada jestem, że ślub przyśpieszony. Pieniędzy coraz mi trudniej wydobyć. Musimy się żywo zakrzątnąć koło weselnych przygotowań, aby na czas wydążyć... Czy myślisz, że Bielowscy przyjadą? Chciałabym upokorzyć tę smarkatę; dużo mi krwi napsuła, a pewną jestem, że ona za Stanisławem szaleje.

— Chyba nie—odrzekła Lila, stając przed toaletą babki.—Bawią gdzieś we Francyi...

Obejrzała się w zwierciadle zadowolona, poprawiła spiętrzone nad czołem loczki i zwróciła się do babki z tryumfującym uśmiechem.

— Nie wrócę prędko do ciebie, babciu, — rzekła wesoło — gdy frunę w świat po ślubie. Zagórowo nie rychło mię zobaczy. Może zupełnie za granicą zamieszkamy..

Roiła już oddawna o przepychu, podróżach, świetnych toaletach młodej mężatki, o wielbicielach i życiu pełnem wrażeń.

— Przyjadę do was, gdy się już na stałe gdzieś urządzicie—odparła babka.—I ja nie lubię Zagórowa. Twoja matka czuła się nieszczęśliwą po powrocie do kraju. Tęskniła i powtarzała zawsze: Niema jak zagranica!

Tonęły obie w rozkosznych marzeniach. Resztę wieczoru spędziły snując plany; nie krępując się bynajmniej szalonemi wydatkami, jakie pochłonąć miała tualeta panny młodej, okazałe wesele i wyprawa.

Wezwany przed oblicze jaśnie pani, Kwapiewicz, potniał cały, słuchając tej litanii. Nie probował nawet perswadować.

— Pożyczyć u Lejzora, sprzedać coś z inwentarza, wstrzymać zasługi oficyalistom i nie płacić robocizny... — wszystko to jako środki pomocne w otrzymaniu pieniędzy, pomieściło się naraz w głowie jasnej pani.

— Muszę ja pomówić o tem z p. Kamienieckim — mówił do siebie stary, gdy zmęczonego i zirytowanego uwolniła wreszcie p. Dolewska.— To tak nie może być! Baba wszystko rozpuści, jak mi Pan Bóg miły! Już i tak niemało p. Kamieniecki za nią zapłacił. Święty człowiek, ale go ratować trzeba. Naszej panience szczęście samo w rękę lezie, ale co p. Stanisław... miarkuję, że kiepsko na tem wyjdzie...

Ale Stanisław nie chciał słuchać o niczem, gdy w parę tygodni potem Kwapiewicz nieśmiało zagaił kwestyę. Dzień ślubu zbliżał się... upojony szczęściem, rozkochany do szaleństwa niemal, nie miał chęci zajmować się interessami.

— Później, później, mój p. Kwapiewicz — odpowiadał staremu rządcy.—Pogadamy o wszystkiem; teraz mi głowy nie zaprzątajcie.

I tak to zostało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ANWERPII.

Kto, pragnąc wrażeń i widoków nowych wybrał się na wystawę do starego flamandzkiego grodu, zapewne nie pożałuje trudów przebytej podróży, zwłaszcza że komitet wystawowy starał się i stara usilnie, aby gościom było tu dobrze. Zadowolnił też przybyszów nietylko pod tym jednym względem, który przecież w rachunek brać należy, bo kto nie może dobrze się wyspać, dobrze zjeść, musi czuć się zmęczonym a zły humor każe mu patrzeć na wszystko przez czarne okulary, których ja przynajmniej nie wydostałem dotąd z podróżnego tłomaczka. Komitet mieszkań dla części miasta środkowej oznaczył na czas trwania wystawy ceny pokoju w hotelach podzielonych na trzy klassy: za pierwszą płaci się dziennie bez śniadania do siedmiu franków, ze śniadaniem od ósmiu do dziewięciu, z całem utrzymaniem od dziesięciu do piętnastu franków. Klassa druga i trzecia tańsze są stosunkowo a dla dokładności dodać mi należy, że funkcyonuje tu dla wygody przybywających gości urzędowy komitet mieszkań z siedliskiem w ratuszu, za którego sprawą nikt się tu obawiać nie potrzebuje, aby mu miejsca zabrakło.

Miasto samo przedstawia przybyszowi za pierwszym rzutem oka widok zajmujący. Starożytne i odwiecznie bogate, obecnie najbogatsze ze wszystkich miast Belgii, ma czem zająć gościa, takiego zwłaszcza, który umie patrzyć. Starożytny ratusz i wspaniała katedra należą do gmachów, jakich obecnie jest niewiele; miasto już w VI wieku daje znać o sobie, w VII jest ważnym punktem handlowym, w XVI skupia w murach swoich ruch handlu europejskiego, jest też tu co widzieć, co oglądać i przyznam się też, że nie wystawa zajęła szczególnie uwagę moją.

Obraz nowożytnego życia na tle starożytnem dziwnie działa na widza siłą kontrastów swoich, a zaraz na wstępie wzrok spotyka się z widokiem nie często oglądanym. W przystani las masztów rozciąga się co najmniej na pół milę naszą, a gdy zapuścisz się w ulice miasta, niewiesz na czem wzrok należy ci zatrzymać, zwłaszcza jeżeli twój przewodnik zawiedzie cię w dzielnice zowiącą się starą Anwerpią, a która odpowiada niejako naszemu Staremu Miastu. Tam mieści się wystawa a w dniu jej otwarcia nietylko miasto całe z końca w koniec przystroiło się świątecznie; na ulicach tłumy ludzi, których bezustannie zwoziły koleje żelazne, a wszędzie zieloność, kwiaty, zwieszające się kobierce. A gdy około godziny 2-ej po południu przybył król z rodziną, gdy burmistrz, van Reyswyck, w otoczeniu wielkich dygnitarzy państwa, ciała dyplomatycznego i przedstawicieli prasy wyszedł na jego powitanie a gwardya honorowa zagrała hymn narodowy, wszystkie serca uderzyły a dodać należy, że dworzec kolei był artystycznie przystrojony kwiatami i zielenią, wśrod której widniały herby wszystkich prowincyi kraju. Król z królową udali się wprost z dwórca kolejowego na wystawę, której rzeczywiste otwarcie odbyło się niejako w tak zwanej sali zabaw, gdzie za wstąpieniem królestwa ozwała się muzyka, jakiej mało kto i mało gdzie usłyszeć może. Było to wspaniałe dzieło muzyczne: „Le génie de la patrie,“ na którego wykonanie składało się tysiąc siedemset osób: 328 sopranów, 304 altów, 259 tenorów, 291 basów, z akompaniamentem 127 skrzypców, 62 innych instrumentów smyczkowych, 37 dętych i trzeba mieć potężną wyobraźnią aby przedstawić sobie efekt, jaki to wywierało.

Bardzo miłe wrażenie zrobiło powitanie gości zagranicznych przez chór: „Niech przyjemnie czas wam płynie w tej najdroższej nam krainie...“ i można śmiało twierdzić, że wszystkie ręce ściskały się ze sobą szczerze, a gdy za orszakiem pary królewskiej posuwający się tłum ludzi przebył bramę Kipdorf, znaleźliśmy się jakoby w obec sennego marzenia. Szeregi lat cofnęły się dla nas w tył i oto ujrzeliśmy się nagle w wieku XVI a skutków cudu tego dokonał nie żaden czarnoksiężnik, ale dwóch sztukmistrzów: architekt Greefs, wskrzesił według planu malarza van Knyck dzielnicę starej Antwerpii z trudnem do opisania uchwyceniem barw i kształtów, i gdy za ukazaniem się króla z królową po prawicy, wystąpiło sześciu rajców miasta z orszakiem panów koronnych, giermków, halabardzistów wiodąc ze sobą małżonki swe i dzieci, wszystko w strojach odpowiadających stylowi epoki — gdy nastąpiła ceremonia wręczenia monarsze kluczy, wśród okrzyków: niech żyje król! niech żyje królowa!... wrażenie było niedające odtworzyć się przez słowa.

A dodać trzeba że przedstawiło nam się tutaj żywe życie przeszłości. Znajdujemy się w rynku; widzimy starożytny ratusz, starożytną kamienicę, które jest rezydencyą burmistrza, widzimy kamienic takich szeregi a otwarte są w nich sklepy i wre tu życie żywe: życie codziennej pracy i tam oto, w gospodzie, zapijają sobie ludzi z owego czasu piwo w kuflach z gliny polewanej. Dalej jest szewc, który zrzucił z siebie kubrak zwierzchni i wyciąga dratwę a kowal w czerwonym berecie z kwastem podkuwa konia, czekającemu na tę operacyę rycerzowi w całym swoim wspaniałym rynsztuku: w zbroi, w przyłbicy. Jest w głębi kościół, słychać organy i śpiew ludu, oko widzi grupy w kruchcie i u drzwi stojące, gdy oto ukazuje się z głębi ulicy wysuwający się pochód wspaniały: powiewają chorągwie a ludzie w grupach patrzą ciekawie, wychylają głowy, aż oto przy odgłosie trąb, bębnów, przy okrzykach tłumu wjeżdża w 1544 r., następca księcia Parmy, zmarły w 1592 — wjeżdża przez starożytną bramę Ś-go Jerzego, którą zdobią odpowiednie na przyjęcie takiego gościa flagi i wieńce. Towarzyszy mu orszak dostojników świeckich i duchownych, między temi są księżęta krwi królewskiej i zaraz wkrótce potem odbywa się igrzysko rycerskie, rozpoczęte pysznym korowodem, który tworzą rycerze chrześcijańscy i maurowie, niewolnicy brazylijscy i amazonki, oraz nimfy i aniołki, trefnisie nakoniec, których obowiązkiem jest podniecać wesołość zgromadzonych gości, gdy naraz występuje rycerz oskarżony o to, iż nie umiał oddawać czci należnej damom. Więc wyzywa swych oskarzycieli i zwycięża ich, a w skutek tego odbiera nagrodę z rąk dostojnej damy, która uznaje winę jego jakoby niebyłą, gdy obok tego inni rycerze inne nagrody od pan myśli swoich otrzymują.

Rynek Starej Anwerpii zgromadził na to widowisko przeszło dziesięć tysięcy widzów, których oklaski świadczyły, że te obrazy zamierzchłej przeszłości zajęły ich i może rozbudziły im w piersiach żywsze serca bicie. Postanowiono też że powtórzone zostaną w bieżącym miesiącu, a obok tego Towarzystwo gimnastyki i fechtunku zwołało zaraz konkurs międzynarodowy towarzystw gimnastycznych, a był to z kolei XXI konkurs taki, najświetniejszy i najliczniejszy z odbytych. Miejscem popisu był obszerny plac Ś-go Jana; wspólne ćwiczenia, wykonywane były w takt muzyki, ułożonej specyalnie na ten użytek przez kompozytora, Piotra Benoit, a owacye jakie mia-

sto robiło tym dzielnym, dowodzą że męzkość krzepka zawsze wywiera swój urok i znajduje uznanie, bo nie słabi budują dzieje, nie słabi nadstawiają pierś swoją tam, gdzie tego jest potrzeba.

Uroczystość zakończyła się wspaniałym korowodem powrotnym i bankietem, na którym rozdawano nagrody: medale przyznane towarzystwom i osobistościom pojedyńczym, a co kwiatów, wieńców, bukietów otrzymali zwycięzcy od pań! Rzecz to stara jak świat i myt ten grecki, który każe bogini piękności kochać Marsa, bożka, mężnej siły, na tej podstawie się wytworzył.

Tło, na którem odbywały się te zapasy, przedstawiało widok bardzo malowniczy. Na rogach rozchodzących się ztąd ulic, wznosiły się łuki tryumfalne, przyozdobione w zieleń i oraż wszelkiego rodzaju, poczynając od starożytnych mieczy rzymskich. Pierścienie do których rycerze gonić mieli, zawieszone były na wstęgach wzorzystych, trybunę wzniesioną przed ratuszem, zajmowali sędziowie w czarnych poważnych strojach: w aksamitnych płaszczach, a że na balkonach i trybunach zasiadające panie były po większej części jasno, wytwornie ubrane, odbijało się to kontrastem silnym od tła i otoczenia swego. O godzinie trzeciej z południa wybitniejsze osobistości miasta zajmują miejsca swoje, następnie nadciąga orszak księcia Ernesta w klassycznych strojach rzymskich tryumfatorów, ukazuje się król Etyopii w czerwieni szat złotem bramowanych, niosą go na tronie niewolnicy a otacza orszak tancerek, symbalistów, małp, wielbłądów; dalej ciągną trembacze, dobosze, błazny, pochółki, dalej jeszcze postępuje cały komplet szkoły retorów Starej Antwerpii, damy królujące na turnieju, a te są całe w bieli, złotem haftowanej, a od złotych dyademów spływają im długie welony, za niemi zaś ja koby straż ich przyboczna, rycerze w zbrojach, w hełmach, które błyszczą na słońcu, odbijającem w nich promienie swoje.

A nie skryło się ono po za chmury ani na chwilę jedną, jak gdyby chciało dodać blasku i wesela tej wdzięcznej zabawie człowieka tegoczesnego, który zapragnął śnić chwil kilka tym snem przeszłości swego rodu, wśród której królowała poezya. Turniej rozpoczął się walką na miecze, gonieniem do pierścienia, kruszeniem kopij, w czem altylerzyści belgijscy popisali się z niepospolitą zręcznością i siłą, a panie w szatach średniowiecznych kasztelanek rozdawały im nagrody z wdziękiem niepospolitym, jak to ogólnie uznano.

Kongres prasy trwający od d. 7, do 13 lipca zapewne w rezultatach narad swoich przyniesie niejedną korzyść tak literaturze jak literatom o czem doniosę wam w liście następnym. Jest to jedna z ważniejszych czynności kongresu, a mieścić się będzie też obok obwarowania własności literackiej, kwestya literatury demoralizującej. Zapisał się tu już na mówcę Juliusz Janin, a chodzi pogłoska, że walcząc pod spuszczoną przyłbicą, wystąpi przeciwko kierunkowi Zoli i jego szkoły. Doszła nas tu wieść głucha, że kobiety francuzkie przyłączą się tu także pod zbiorową nazwę: „Kobiety uczciwe.“

Zakłócił tu narady i przycisnął ciężarem myśli smutnych wszystkich, jak twierdzić można, członków kongresu wypadek okrutny. W najpiękniejszej części miasta przy samym rogu „Avenue Marie Thérese“ i „Avenue Rubens,“ wznoszący się stary, wspaniały palac w stylu flamandzkim mieszczący znakomitą galeryę obrazów europejskiej sławy, własność zamożnego kupca z rodziny odwiecznie tu zamieszkałej stał się przedmiotem zbrodniczego zamachu. Podłożono pod gmach ten jakiś materyał wybuchowy i po północy, gdy wszyscy już mieszkańcy byli w domu i spali, dał się słyszeć straszny huk, a zarazem brzęk szkła szyb pękających i zgrzyt łamiącego się żelaza. Kraty okien i drzwi zabezpieczone silnemi sztabami żelaza, zostały wysadzone, jak gdyby usiłowała je łamać ręka olbrzyma. Cała sąsiednia ludność została nagle ze snu zbudzona, prokurator generalny, mieszkający w pobliżu przybył natychmiast na miejsce katastrofy z oddziałem policyi przecież po to jedynie, aby okrutny fakt zbrodniczego czynu w jego spustoczeniach stwierdzić. Wybuch był tak silny, że drzewa w ogrodzie przyległym do pałacu zostały z korzeniami z ziemi powyrywane i tylko cudem jakimś nikt z ludzi zabitym nie został. Poszukiwania szczegółowe doprowadziły do tego tylko, że odkryto wśród gruzów zburzonej piwnicy kawałki blachy, pochodzące z pudełka od sardynek, w którym jak przypuścić można, bomba dynamitowa lub tonitowa złożoną była. Akt to był, jak przypuścić można, jakiejś zemsty dzikiej, smutne też, przygnębiające jest jego wrażenie, zwłaszcza że rzecz się zbiegła z wieścią bolesną o śmierci Carnota. Ojciec jego walczył w 1814 r., w obronie Anwerpii i jedna z ulic miasta nosi dotąd jego nazwę.

W tych dniach przybyła tu na strzelecki kongres wystawy angielska, straż pożarna z rynsztunkiem swym całym, końmi, maszynami. Przyjęcie odbyło się w ratuszu w niedzielę, aby większym mógł być współudział klass pracujących, bo jak się rozumnie wyrażono, dobrze jest aby szerokie koła ludowe poznawały, jak człowiek cywilizowany może opanować żywioły nawet i siłą rozumu swego podnieść się nad ich moce...

F.

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

Tę tragedyą psychiczną, jaką po raz pierwszy stworzyło u nas natchnienie poety, poprzedza uroczy, czarujący obraz życia rodzinnego, tak pełny słonecznych blasków i ciepła, a tak wyrazisty, że chyba musiała poetka wysnuć go z najdroższych pamiątek życia własnego. Obraz ten występuje raz jeszcze przy końcu poematu, już zamglony chmurami smutku, już osłoniony kirem śmierci, a jednak jeszcze cichy, jeszcze serdeczny, jeszcze ożywczy, jeszcze mający dość światła na rozjaśnienie drogi, dość ciepła na ogrzanie serca zbolałego. Tkwi głęboki artyzm w zestawieniu tego świata miłości bez burz namiętnych, cichej harmonii uczuć słonecznych, ze światem innym, który porywa duszę człowieka huraganem uniesień gwałtownych, który ją pochłania dla artyzmu, lub dla szalonej żądzy użycia w uczuciach i wrażeniach, nieskrępowanych żadnemi prawami moralnemi. Tkwi też ten artyzm w głębokiem zrozumieniu zasadniczych potęg ducha ludzkiego i w mistrzowskiem ich odtworzeniu. Potęga miłości rodzinnej, potęga umiłowania sztuki, potęga namiętnego ukochania kobiety i potęga żądzy wrażeń i użycia, pozbawiona pęt zmysłu moralnego: oto są te zasadnicze moce ducha ludzkiego, których objawy i oddziaływanie na siebie wzajemne w pewnych najsilniejszych momentach stanowią istotną treść „Poganki“.

Nad grobem dwóch światów stoi złamana, ale posągowa jeszcze postać rozbitka. Nie zmartwychwstanie już w nim ani młodziutki, z pogodną, słoneczną duszą Benjamin, ani namiętny kochanek Alcybiades. Oto własne słowa tego paralityka duchowego, które go najlepiej charakteryzują: „Na pamięć wydaję teraz wszystko: grzeczność, współczucie, oburzenie, przychylność, zawsze i w każdej chwili przypominam sobie, co gdzie przypada najlepiej!... „Jak uścisnę dłonie wasze, to się przed żadnem poświęceniem nie cofnę. Chcecie, bym pracował?—będę pracował jak chcecie, bym się pozwolił i tu przybić do krzyża?—tu chętnie i drzewo na niego dźwigać będę i rozpostrę ramiona i dam przybić ręce, nogi i skonam. O! bracia moi, tylko... tylko choć skonam, nie zbawię... nie zbawię, bo nie kocham was...“

Jedna siła by go jeszcze mogła uratować.—Kochające serce matki. Ale matka legła już na pobojowisku rozbitego życia rodzinnego, matka już w grobie.

Utwór to nawskroś oryginalny, tak w treści, jak i w wykonaniu, utwór prawdziwego natchnienia, najszczęśliwszej chwili twórczości. Trzeba tylko oceniać to, co w nim jest, a nie oglądać się za tem, czego niema.

Jeżeli trzeźwe umysły czasu naszego razi fantazyjny epizod o śmierci Aspazyi, która wydarzyła się wtedy właśnie, gdy Benjamin palił obraz Cypryana, to można im wytłómaczyć, że to ma być „symbol,“ symbol przekleństwa, który światu pogańskiemu rzuca poetka. Wypowiada to odrazu Anna, jedna z tych osób, które słuchały opowieści Benjamina przy ogniu kominkowym, bo gdy nieszczęśliwy bohater rzekł, że według daty i oznaczonej godziny Aspazya skonać musiała wtedy, kiedy on obraz palił, Anna zawołała: „Horror, horror!—więc naprawdę ta kobieta była...“ „Poganką“—dopowiedział Benjamin. Poetka uważała świat duchowy Aspazyi za resztki żyjącego dotąd śród nas pogaństwa.

Co nas zresztą obchodzić może, kiedy Aspazya skonała! Przypuśćmy, że romantyczne usposobienie twórczości poetycznej Gabryeli zeszło tu ze ścieżki prawdopodobieństwa życiowego. Czy ujmuje to choć odrobinę prawdzie psychologicznej i piękności utworu?

Rozum poetki tej sile miłości namiętnej, która strawiła życie Benjamina, pomimo jej niszczącego działania, nie odmawia prawa bytu, godzi się z jej istnieniem, jako z faktem. Miłość ta, zdaniem autorki, to jest płomień, który może spalić mienie człowieka, ale może też być źródłem ciepła ożywczego. Gdyby Benjamin pokochał był lepszą kobietę, miłość jego byłaby żywotwórczym zdrojem szlachetnych czynów i uniesień. Bywają w życiu upadki duchowe, gorsze stokroć i szkodliwsze, bez miłości. Więc nawet wobec wyższych ideałów życia nie należy potępiać miłości jednostkowej dla tego, że była nieszczęśliwie skierowaną. Są ludzie, dla których uczucie to może być zbytecznem, szkodliwem nawet, bo w ich naturze w zło się zamieni, ale „dla olbrzymów,“ jak mówi śród dysputy nad losem Benjamina Jadwiga—„dla Prometeuszów, dla zbawionych i uświęconych, toć ich cechę stanowi.“ Kto ogniowej próby uczucia tego nie przejdzie, tego ani olbrzymem, ani Prometeuszem nazwać jeszcze nie można. Miłość jest próbą rzetelnej wartości człowieka; w niej ujawniają się i potęgują jego siły duchowe. Miłość jest czystem źródłem, w które życie rzuca męty swoje. Albert filozof powiada, że często trzeba się wyrzec miłości dla wyższych ideałów życia, a Henryk woła z uniesieniem, że wyrzekać się jej nigdy nie należy; trzeba ją żywić w sercu, aby mieć co złożyć na ołtarzu poświęcenia. Oto najsilniejsze słowo, jakie Gabryela w utworach swych o miłości wyrzekła.

Również uznaje rozum poetki prawo bytu dla wyżerającej wszystkie inne moce ducha potęgi artyzmu. Zdaniem jej, nie należy rzucać przekleństwa na głowę artysty za to, że jest tem, czem go natura duchowa stworzyła, za to, że jest odmiennym gatunkiem człowieka, za to, że on, jak mówi poetka, „wzamian cierpień i krwi naszej da nam jakie arcydzieło, przecudny obraz, cudną nutę piosnki.“ Nie trzeba go potępiać tem bardziej, że jest nieszczęśliwym, bo on dla sztuki poświęca całe życie swoje, wszystkie skarby szczęścia, wszystkie swe żądze i marzenia, a ona mu za to daje noce bezsenne, bóle rozczarowań i zawodów.

Trzecia potęga życia ludzkiego: ciche uczucie rodzinne, winno, zdaniem poetki, płynąć, jak czyste źródło, zdala od tych burz i huraganów, które stwarzają wichry uniesień w artyzmie i fantazyi, chwytającej na swe skrzydła żądze bujnej natury ludzkiej i unoszącej je na mętne głębiny użycia.

W tem jeszcze tkwi niezmierne zainteressowanie artystyczne, że aktorami dramatów psychicznych w „Pogance“ są natury wyższe, istoty swej i działań świadome, natury, umiejące dostroić się do najwyższego kamertonu uczuć, myśli i uniesień, a zarazem umiejące ogień, który je pali, w płomiennej mowie wyrzucać. To jednak sprawia, że i czytelnik musi się do tego wysokiego kamertonu nastroić, że przeto poetka przygotowała ucztę tylko dla lepszych smakoszów artyzmu,

Na najwyższym szczycie twórczości Gabryeli zatrzymałem łaskawych słuchaczów swych najdłużej, bo tam chyba najlepiej, bo ztamtąd najszersze widać widnokręgi. W innych utworach poetki tej znajdujemy rozproszone różnorodne perły uczucia, fantazyi i myśli, znajdujemy kilka posągowych postaci, które z właściwem sobie mistrzowstwem snycerstwa wyrzeźbiła, ale już tam gromy nie biją, już tam spokojniej, może nawet nieco bliżej nizin życia, ale już nie w takich ogromach przegląda się duch ludzki.

Jakby uzupełnieniem „Poganki“ jest „Książka pamiątek.“ Obracamy się tu również w świecie artyzmu, w świecie wyjątkowych sił ducha ludzkiego, lecz siły te inaczej już oddziaływają na obszary życia: nie tworzą potęg odrębnych, ale łączą się z rzeczywistością i w tem połączeniu tracą swą wulkaniczność i swą wyłączność. Tu już poetka chce, aby potęga artyzmu była siłą społeczną, oddziaływającą dodatnio na życie; potępia sybarytyzm duchowo-artystyczny tych ludzi, którzy według jej słów „w uprawie własnej duszy się zamknęli, jak pustelnicy Tebaidy w osiągnięciu własnego tylko zbawienia,“ którzy, jak mówi dalej, „zbierają myśli najwznioślejsze, uczucia najżywsze, rozwijają w jakąś dziwną potęgę władze swoje, a kiedy mózg im się rozjaśni, kiedy mogą użyć wszystkiego, co jest tylko w objawach mądrości Bożej i piękności Bożej; kiedy się poczują bystrymi w grze pojęć człowieczych, silnymi w przyjmowaniu artystycznych wrażeń, roztkliwionymi idealnem jakiem ukochaniem, to światu w najwspanialszym darze stawiają jednostkę swoję i powiadają: czy to nie dosyć!“

Więc już, zdaniem poetki, artyzm nie powinien trzymać się zdala od życia, lecz winien wpływać na nie uszlachetniająco. Tą zaś potęgą, która go z życiem pojedna, która mu mocy żywotwórczej dla życia rzeczywistego użyczy, ma być uczucie miłości. Daje ono jednostce szczęście, a szczęście to wzmacnia jej siły moralne i do oddziaływania zbawczego na otoczenie zdolnym ją czyni. Bez miłości jednostka w pracy duchowej użyteczną być nie może: „Miłość,“ mówi poetka — „to jasny dar Boży, to anioł, który raz na rok, raz na życie całe do serca zstępuje i drzemiące wody martwej sadzawki Betsaidy porusza; miłość ukrzepia, ośmiela, uzbraja i tak wzmacnia, że samą siebie zwyciężyć jest zdolna.“ „Nie rozpromienieje szczęściem do koła“ — mówi dalej — „kto sam w głębi swej piersi własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką; nie nakarmi, kto sam głodny; nie nauczy, kto sam bezwiedny; nie wesprze, kto sam bezsilny; nie stworzy, kto sam umarły. Bez miłości niema rodzin, niema mistrzów, niema bohaterów, niema artystów, a gorzej jeszcze z miłością zaprzeczoną w czyjejś przeszłości, bo z taką są w dalszem życiu dziwacy, skąpcy, systematycy, kanonienni, łzami przesiąkłe gąbki, woski szkaradnych odcisków biorące piętna; są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze, lub trupy.“

Więc tu już poetka chce połączyć z sobą w jednę harmonijną całość: potęgę życia rodzinnego, potęgę miłości i potęgę artyzmu.

Główna bohaterka utworu Marya - Regina jest artystką, artystką w uczuciach, w myśli i w wyobraźni, oddziaływa ona na życie potęgą artyzmu, ale miłości w jej sercu niema, więc przez wpływ swój może stworzyć w bracie Romualdzie artystę, ale nie człowieka wszechstronnie doskonałego. Gdy jej ideałom życia artystycznego stanie na drodze serce człowieka, to je zdepce. Artyzm jej nie żyje, jak w „Pogance,“ potęgą fantazyi tylko, przeciwnie, wydobywa on z siebie promienne ciepło uczucia. Marya-Regina może nawet umiłować, ale nie człowieka, tylko jego talent, jego moc twórczą, jego natchnienie. Podobną ona jest do „Poganki“ przez swój sybarytyzm intellektualny, ale stoi od niej wyżej przez to, że tych skarbów, które wydobędzie z piersi człowieka dla zbogacenia swych rozkoszy artystycznych, nie roztrwoni, zachowa je, tylko nie tchnie w te zasoby ducha żywotwórczej siły miłości i nie odda ich w ukochaniu tej istocie, która się do niej, sercem garnie. Nie zmarnuje miłości człowieka jak „Poganka,“ bo też jej do duszy swej przystępu nie da; ceni ją w innych o tyle tylko, o ile może jej służyć za motor do celów artystycznych. Oddaje drgające uczuciem serce kobiece bratu, aby ono płomień twórczy w duszy jego rozgrzało, a później, gdy to serce do kombinacyi jej artystycznych już nie jest potrzebne, odtrąca je dłonią kamienną. Wszystkie tętna serca ludzkiego rozumie, odczuwa je nawet zmysłem mistrzyni w sztuce, umie zabłysnąć zapałem i uniesieniem, ale serce jej w tej bachanalii umysłu i wyobraźni żadnego nie przyjmuje udziału. To „entuzyastka - artystka,“ to dusza z cennego dyamentu stworzona, dusza, która „pod promieniem słońca mieniła stę w tysiączne blaski swej fantazyi; jakie wrażenie na nią padło, w takiego barwę przyoblekała cały świat swój naokoło, a barwy zawsze cudne, choć coraz inne, nieujętne, migotliwe—zwyczajnie jak połysk dyamentu.“ W duszę „Poganki“ barwy te padały jak w męty wzburzonej strugi, nakrótko obracały w płomień próchno jej duszy, ale wnet gasły nazawsze. Dusza Maryi-Reginy odbijała je od siebie w cudnych barwach, rozkoszowała się niemi, wprawiała w zachwyt oczy innych, ale ani sama siebie w nich spłomienić, ani też przez to innych ogrzać nie mogła. „Poganka“ szła drogą użycia i rozpusty... Marya-Regina nigdy z drogi cnoty nie zboczyła; życie jej było powszedniością, w obręb której ściągnęła wiele sobie właściwej poezyi i zdarzenia tej powszedniości w artystyczną wiązankę układała.

Z czasem skamieniała Marya - Regina w martwości swego ducha, zmarniała, bo nie było w niej zdolności do ukochania. Inaczej było z bratem jej, Romualdem. Artysta ten upadł w brudną kałużę życia, bo zaparł się swej miłości. Dyament przestał błyszczeć cudnemi barwami, gdy blaski słoneczne za chmury się schowały; „kropla rosy,“ jak nazywa Gabryela duszę Romualda, upadła w błoto, bo jej słońce miłości nie pochłonęło i ku niebiosom nie uniosło. A taka dusza mogła była upaść na glebę życia rosą ożywczą.

Psychicznego stosunku miłości do życia nikt może tak głęboko nie przeniknął genialną intuicyą i nikt tak artystycznie nie odtworzył, jak Żmichowska.

Niebawem po dniach jaśniejszych nadeszły chwile rozczarowań. Życie zdradziło poetkę, odarło ją z wiary w ziszczenie ideałów, które cel jej twórczości stanowiły. „Książka pamiątek nie mogła już znaleźć w sercu jej zakończenia. Przebacza zmartwiałym, rozkruszonym i zepsutym,“ ale do duszy jej zawitała krwiożercza hydra sceptyzmu i oto szepce jej, że „zaprzeczona, czy uznana, podzielona, czy odparta, skojarzona czy rozbita — każda miłość z lat koleją, choć innemi ścieżkami, u tego samego punktu błotnistej rozłogi staje.

Blade widmo reakcyi padło ciężarem na serce poetki, zatruło je bólem i zwątpieniem. Uczucia te napiętnowały cały szereg późniejszych utworów Gabryeli. W utworach tych oburza się ona na obłudę ludzi, którzy wszystkie prawdy życia umieją na pamięć, ale ich w sercu nie noszą i w czynach nie urzeczywistniają. Niekiedy stęskniona dusza poetki wyrywa się do dawniejszych lat życia i pyta się: gdzie są ci ukochani, ci dobrzy, ci doskonali, których serce jej tak gorąco umiłowało, którzy wszystkie jej skarby z sobą zabrali? A widziała upadek ducha nie tyle w braku ideałów, ile w słabości woli ludzkiej. „Jej Biała Róża,“ — dziecię epoki reakcynej, rozumie, co jest w życiu lepszego i podnioślejszego, ale nie ma siły, rozerwać zewnętrznej skorupy, w którą ducha jej zasklepiło wychowanie i otoczenie, zatrute obłudą, zimnem konwenansów światowych i fałszu; nie ma siły, zejść z utartej ścieżki życia, aby spojrzeć śmiało w oczy opinii ludzkiej, która jej grozi widmem śmieszności i potępienia. Kryje w głębi ducha istotne swe uczucia, myśli i popędy, chowa nawet ironią, z którą na słabostki ludzkie spogląda; jest „Białą Różą“ dla siebie tylko, a dla świata—sztuczną i zimną Augustą, *correcte*“ w każdym ruchu, w każdem słowie i czynie, bogatą panną, pustą lalką salonową. Wolała iść spokojnie, oparta na sile dogmatów obyczajowych, niż walczyć z wichrami życia, niż płynąć przeciwko wodzie prawd uznanych. Taką widzimy Białą Różę — Augustę w pierwszej części utworu. Nim wyszła część druga powieści, krytyka sądziła, że Augusta chciała się tylko pochwalić w liście do Kazimiery swojem bogactwem intellektualnem, że spowiedź jej nie była szczerą. Po przeczytaniu drugiej części możnaby zmodyfikować to zdanie. Augusta przedstawia się tu trochę inaczej; widzimy różne niedobory jej istoty wewnętrznej, przewagę kapryśnego rozumu, zbyt analizującego niedoznane w całej jeszcze pełni uczucia, chaotyczne bogactwo zasobów duchowych, niewiarę i bojaźliwość, połączone z żądzą ukochania, pewne nierozwinięcie władz ducha, do pełnego ukochania niezbędnych, słowem: kwiat w oranżeryi życia sztucznie wychowany, garnący się do słońca, a drgający obawą: czy się w promieniach jego rozwinąć potrafi. Mamy tu zresztą przed sobą nie Augustę, ale „Białą Różę“ w chwili spowiedzi przed wyższą umysłem i sercem dawną nauczycielką. Gdy ta „Biała-Róża“ wyszła za drzwi swego cichego artystycznego schronienia, może Augusta zapomniała uderzeń serca, pragnącego ukochać, choćby wypieszczone dziecko—Morysia, byleby tylko kochać. Dzieje jej życia są urwane, i można przy nich postawić wielki znak zapytania.

Dobadując się w tej fazie zwątpienia przyczyny złego, poddaje Gabryela krytyce nawet same ideały swoje. Strąca już miłość nawet z pierwszorzędnego stanowiska, uważając ją za jeden tylko z wielkich motorów życia.

Powoli dusza poetki znajdowała ukojenie w ciszy wiedzy pozytywnej; ideał życia ujrzała w spełnianiu obowiązku, w walce ze złemi popędami. Sarkazm zmienił się w pobłażliwą ironią, z którą kreśli dobitnemi rysami różne postacie w powieści: „Kasia i Marynka.“ Nareszcie z objektywnym już spokojem w utworze p. t. „Czy to powieść?“ odtwarza Gabryela w kilku urywkach życie domowe u nas w dobie jej dzieciństwa.

Objąwszy jednym rzutem oka twórczość Żmichowskiej, zobaczymy, że wniosła ona do poezyi tę samą naturę niewieścią, która żyła w utworach jej poprzedniczek, rozpłomieniła ją jednak w gorącej swej fantazyi, a zamiast czułostkowości dała nam szczere i gorące uczucie. Nadto w płodach ducha tej poetki po raz pierwszy powstał pod piórem niewieściem duch romantyzmu, a obok niego stanął duch inny, duch myśli, niezależnej od dogmatów życia. Nawet gorąca wiara religijna poetki ma za podstawę, nie dogmat, ale szczere ukochanie ideałów wszechludzkiej doskonałości. Każda prawda musiała znaleźć uznanie i uświęcenie w jej naturze wewnętrznej, nim ją za prawdę ogłosiła. Po raz pierwszy też przy świeca tu duszy niewieściej wyższa myśl filozoficzna, połączona z samodzielnością i śmiałością przekonań. Specyalne cechy umysłu niewieściego, subjektywizm i skłonność do dedukcyi znajdują bogate dla siebie uzupełnienie i pole do twórczości w głębokiej analizie psychologicznej. Wyższa intelligencya kobieca poetki, połączona z lepszym smakiem i podnioślejszym nastrojem uczuć, lgnęła do natur wyjątkowych, artystycznych, do natur, które i w złem i w dobrem ponad szarą powszedniość wznosić się umiały. Usposobienie namiętne i wybuchowe łączyło się wciąż w błyskawicznem spromieniowaniu w duszy poetki z głęboką reflexyą, co dało tej duszy głębię natchnienia i siłę artyzmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, d. 1 Lipca.

W wschodniej stronie Lwowa, który sam przez się stanowi głęboko wklęsłą kotlinę, wznosi się prześliczne faliste wzgórze *Stryjskiem* zwane. Niegdyś, i to przed bardzo niedawnym czasem, stanowiło ono pustkę zaniedbaną, opuszczoną, pełną chwastów i burzanów. Osiem lat temu może wpadł zarząd miasta na szczęśliwą myśl za-

mienienia części ślicznej tej doliny i stoku gór na park; posadzono zatem drzewa, zaprowadzono gazony, sadzawki, wodotryski, i tak sztuka, wsparta szczęśliwemi warunkami przyrody, stworzyła urocze, zaciszne miejsce przechadzek, dla mieszkańców spragnionych świeżości i zieleni. Wzgórze Stryjskie pozostało jednak odłogiem i w tym roku dopiero, jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej pałeczki pokrywać się poczęło całym zastępem kiosków, pawilonów, pałaców z których każdy mieści dorobek pracy i usiłowań ludzkich na polu rolnictwa, przemysłu, nauki i sztuki. Zgadniecie łatwo szanowni czytelnicy, iż mówimy tu o Powszechnej Wystawie Galicyjskiej, której otwarcie miało miejsce d. 5 Czerwca w obecności Arcy-księcia Karola Ludwika, zastępującego cesarza. Miasto udekorowane prześlicznie flagami, kobiercami, zielenią, a wieczorem morzem światła, miało niezwykle uroczysty wygląd. Odległość od miasta nie stanowi tu przeszkody, gdyż oprócz dorożek i omnibusów przewozi publiczność tu nowo wybudowany tramway elektryczny, który zatrzymuje się przed samą bramą wystawy.

Już zaraz brama ta musi nas dobrze dla zwiedzanej wystawy usposobić. Gustowna, wspaniała rozmiarami i ornamentyką w stylu *empire*, wznosi się nakształt dwóch obelisków przepuszczając falę ludzi—miejscowych i przyjezdnych, którzy pomimo najfatalniejszych warunków pogody, bo nieustannego niemal deszczu, odwiedzają tłumnie tę arenę, gdzie w szlachetnym turnieju współzawodniczą praca i zdolności nowoczesnych pokoleń.

Po obu stronach szerokiej alei, ozdobionej klombami kwiatów i zieleni, ciągną się pawilony większe i mniejsze, skromne, imponujące, lecz wszystkie zwracają uwagę gustem, elegancyą wykończenia, wytwornością ornamentyki; w ogóle gust, lekkość, smak wykwintny — to znamienne cechy zarówno całości wystawy, jak i jej poszczególnych części. Pawilonów w ogóle, wraz z jadłodajniami, które ku wygodzie i nasyceniu zwiedzających gęsto się tu rozsiadły, mamy około trzystu: liczba wcale imponująca, zwłaszcza, gdy się zważy niezupełnie pomyślne warunki naszego bytu.

Najwspanialszemi z budynków, które już niemal gmachami nazwać można, są: — olbrzymi w stylu renesansowym pawilon przemysłowy z drzewa, ozdobiony pięknem bizantyjskiem malowidłem; hala koncertowa z muru pruskiego, służąca zarazem jako prowizoryczny teatr; hala maszyn z żelaza, blachy falistej i szkła, prześliczne z żelaza i gipsu mauzoleum o prostych kształtach egipskich zawierające mniej więcej całą olbrzymią spuściznę geniuszu mistrza Matejki, i wreszcie na wielkie zakrojony rozmiary, cokolwiek wprawdzie za nizki, lecz piękny czystością i harmonią linii pałac sztuki, zbudowany wedle pierwowzoru podobnego gmachu w Rzymie.

Tutaj jeśli zmęczony zwiedzaniem i wrażeniami podróżnik zatrzyma się na chwilę, porwanym zostanie niezwykłą pięknością olbrzymiej, przepięknej panoramy, jaka się zachwyconym jego oczom przedstawi. Po stokach kwiecistych wzgórz, falujących grupach drzew Stryjskiego parku, włączonego nadzwyczaj umiejętnie w teren wystawowy, ześlizguje się spojrzenie ku miastu, utulonemu, nakształt wielkiego rojowiska, w dolinie rzeki Pełtwi, dziś już niewidocznej. Dachy i wieżyce monumentalnych budowli, w które Lwów tak obfituje, odcinają się estetycznie na tle szarej armii banalnych domów mieszkalnych. Oto piękny gmach Inwalidów, brzydki o wysokiej wieży ratusz, czternastego wieku sięgająca katedra, śliczny w stylu, włoskiego renesansu trzymany, kościół Dominikanów, a dalej nowy już całkiem gmach sejmowy, chlubę Lwowa stanowiąca kassa oszczędności, politechnika i potężna, na wyniosłem wzgórzu rozsiadła, metropolia św. Jura.

W dalszym planie — zielone wzgórza zamykają cudny ten krajobraz, którego niezwykły urok na długo wyryć się musi w pamięci wrażliwego na piękno widza.

Nie pozwólmy jednak spojrzeniom bujać zbyt swobodnie i oddawać się zadumie, do której dusza tak jest skłonną; tu dokoła nas tyle rzeczy ciekawych, charakterystycznych, godnych widzenia, że zawsze jeszcze na brak czasu i niemożebność dokładnej obserwacyi skarżyć się przychodzi.

Trudny wybór, zaiste, od czegoby zacząć prościutkie bodaj sprawozdanie z wystawionych okazów; wbrew jednak zwyczajowi i naturalnemu porządkowi rzeczy „nous ne commencerons pas, par le commencement“ ale oddając hołd słuszny słabszej i nadobniejszej połowie rodzaju ludzkiego, zajrzymy naprzód do pawilonu „pracy kobiet“, tymbardziej, że na łamach niniejszego pisma dział ten najwięcej obchodzić nas musi.

Pawilon z zewnątrz nie przedstawia się zbyt ozdobnie: budynek to dość duży, drewniany bez ozdób i wieżyczek, z ornamentyką w stylu miejscowym, tak zwanym „Jaworowskim“.

Wewnątrz ład, porządek, gust i pomysłowość znamionują zaraz kobiece ręce, które podołały trudnemu zadaniu rozmieszczenia tylu różnorodnych drobiazgów, zachowując przytem symetryą i prawidła estetyki.

Dział robót ręcznych, szycia, haftu, wyszywania, będący dziedziną zbliżoną, zdaje się do dziedziny działalności niewieściej, jest tu zaprezentowany najliczniej i najwspanialej.

Co prawda, przy dzisiejszym udoskonalonym współudziale naszym wobec coraz szerzej zakreślonego horyzontu pracy, działalności kobiecej i tylu nowych, a ciągle jeszcze odłogiem leżących dróg zarobkowania i zużytkowania sił swoich i zdolności może trochę szkoda tego olbrzymiego nakładu pracy, czasu, cierpliwości, wciśniętego w ciasne ramy polotu i formy słów artystycznych, na wykonywanie tych tysiącznych drobiazgów, haftów, wyszyć, aplikacyi koronek klockowych, szydełkowych, siatkowych i igiełkowych, jakich całe zastępy widzimy tu rozłożone w pięknych gablotkach. Są to wszystko robótki świadczące o uzdolnieniu, dobrej woli i wysokiej zręczności, lecz dostępne li tylko dla tych, które czasu i pieniędzy mają poddostatkiem. Chleba, utrzymania, a co za tem idzie niezależności — nie dadzą one nikomu, zarówno jak też nie podniosą bogactwa krajowego, ani jego wytwórczości.

Ale dość tych reflexyi wywołanych tam, gdzie istotnie zachwyt tylko powinien by znaleźć miejsce. Oprócz mnóztwa przedmiotów—przeważnie prześlicznych—nadesłanych przez prywatne osoby, widzimy tu kilka szkół żeńskich przemysłowych, które rozłożyły bogate okazy zręczności i pracowitości zarówno uczennic jak nauczycielek. Szkoła przemysłowa lwowska, pomieszczona w pawilonie Wydziału Krajowego, nie jest tu wcale reprezentowaną; natomiast widzimy szkołę przemyską Ś-tej Scholastyki, której zwłaszcza roboty kościelne są wprost zdumiewające artyzmem i precyzyą wykonania. Suknie natomiast z tamtejszej szkoły kroju brzydkie i niegustowne. Szkoła krakowska rozsiadła się najszerzej z obfitym istotnie zapasem robót wszelkiego rodzaju; podziwiać tu można prześlicznie szytą i wykończoną bieliznę pod kierunkiem nauczycielki p. Maryi Mayerling i tejże roboty ozdobne, ściegi atłaskowe, płaskie, krzyżykowe, które dają złudzenie najpyszniejszych haftów, a także koronki klockowe, cienkie jak pajęczyna. Roboty ze szkoły przemysłowej kołomyjskiej noszą na sobie wybitne piętno okolicy, to jest huculszczyzny, i ten charakter oryginalny nadaje wszystkim robotom jakieś wysoce zajmujące piętno.

Z lwowskich zakładów naukowych widzimy pensyonaty p. Zagórskiej i p. Niedziałkowskiej, których uczennice zaprezentowały roboty, rysunki od najskromniejszych do bardzo wytwornych. U p. Niedziałkowskiej zwłaszcza zwracają uwagę hafty na jedwabiu i malowanie na atłasie. Dobrym jest także bardzo pomysł tej ostatniej, urządzenia okazowej apteczki podręcznej; po wsiach zwłaszcza rzecz to nieoceniona dla udzielenia pierwszego ratunku chorym, a zawsze i pożyteczną jest myśl, by się młode dziewczęta zawczasu uczyły, jak nieść pomoc cierpiącym.

W lewem skrzydle, na długim stole, rozłożyło swe okazy stowarzyszenie pracy kobiet. Pożyteczna ta i wysoce filantropijna instytucya, egzystuje we Lwowie już od lat od 24 a zadaniem jej – uczenie robót praktycznych, Pobierają tam naukę ubogie dzieci i w ogóle osoby niezamożne, chcące uniknąć niemiłego zetknięcia i wyzysku magazynów. Początkowo zadanie towarzystwa „pracy kobiet“ pojęte było na szersze rozmiary i prócz kroju i szycia podejmowało naukę różnych innych rzemiosł. Dziś działalność jego zmniejszyła się, lecz, choć cichą jest i skromną, niemniej pożyteczną. Dzieci, prócz nauki przedmiotów i szycia, dostają tam nawet w zimowych miesiącach jedzenie a zakład staje się w ten sposób opatrznością ubogich rodzin.

Nauczycielką robót w szkole pracy kobiet jest panna *Des Loges*, która nie mało musi mieć cierpliwości, by niezgrabne dziecięce rączęta nagiąć do takiej zręczności. Ciekawemi są również roboty nadesłane przez kilka ochronek wiejskich, gdzie nauczycielki przyuczają wiejskie dzieci do umiejętności porządnego szycia i sporządzania bielizny.

W tymsamym pawilonie spotykamy prześlicznie urządzoną kuchnię wzorową przez panie: Rodoć-Biernacką i Wernerową, każda z gospodyń kuchnię taką mieć-by pragnęła, lecz nie każda— mieć może. Wtym samym szeregu spotykamy wzorowo urządzone pokoje; — młodej mężatki, niemowlęcia i dziewczynki do lat 14-stu. Oba ostatnie powstały staraniem pań: Wiczkowskiej, Gawrońskiej i Obtułowiczowej; czynią one zadość wszelkim wymaganiom porządku, wygody i hygieny, możnaby im tylko uczynić zarzut, że są nadto, jak dla dzieci, wykwintne i miękkie.

Zajmującym za to niezmiernie i cennym jest wzór pokoju młodej kobiety, a który hr. Marya z Działyńskich, Potocka, chciała pokazać, jakim być powinien. Celu swego dopięła w zupełności. Pokój ma charakter wykwintnej prostoty i jakiejś niemal chrześcijańskiej powagi. Wszystkie meble są tu krajowej, zakopiańskiej roboty, również krajowe są płótna i koronki użyte przy pościeli i bieliźnie uszytej ręką rymanowskich chłopek, prześliczne oryginalne kilimy, zamiast zagranicznych kobierców: -jednem słowem wszystko destarczone przez przemysł krajowy. Może pokój ten natchnie niejedną młodą kobietę do zamiłowania swojskości.

U wejścia do pawilonu widzimy ozdobnie urządzony jakgdyby namiot, w którego cieniu kryją się istne artystyczne cacka rękami kobiet sporządzone. Przedewszystkiem wpadają tu w oko prześlicznie malowane mebelki przez p. Gostyńską, nieprawdopodobne niemal hafty na pluszu, atłasie, gazie, parawaniki, ekrany, taburety na których wykonanie złożyły się panie: Frenklowa, Łącka, Sawczyńska, Uderska, Madejska, wiele, wiele innych istnych czarodziejek, których nazwiska w nawale materyału wyszły nam z pamięci. Na szczególną jeszcze wzmiankę zasługuje poduszka niezwykle gustownie haftowana przez p. Fiedererową, przepyszne hafty na aksamicie złotem i jedwabiami p, Deymowej, a wreszcie koronki wykonane przez p. Grzywińską. Koronki te mają swoję ciekawą historyę. Oryginał ich został przywieziony przez uczonego badacza professora Józefa Siemiradzkiego z jego dalekiej podróży po Ameryce Południowej. Koronki o pajęczej cienkości i nadzwyczaj gustownym a skomplikowanym deseniu, wyrabiane przez kobiety w Urugwaju zdołała p. Grzywińska naśladować do złudzenia, poprawiając nawet ich rysunek.

Przy tak bogatym dziale robót skromnie, ubogo wygląda dział gospodarstwa domowego.

Reprezentowany jest zaledwie przez dwa dwory, których właścicielki wystawiły cokolwiek konfitur, marynat, konserwów i różne wyroby tkackie. Mamy tu również rodzaj sklepu spożywczego, który urządziła p. Jeleniowa gdzie widzimy sery i bulion wyrobu p. Matczyńskiej, a dalej konserwy i nalewki nadesłane z Poznańskiego, etc... Przesadnie jednak wysokie ceny tych produktów, zarówno jak skąpa ich ilość, świadczą wymownie, że dział ten — tak jednak dla pracy kobiecej wdzięczny—zupełnym niemal w Galicyi leży odłogiem.

Na końcu pozwolimy sobie jeszcze zrobić wzmiankę o dziale umysłowości kobiecej, jeśli go tak nazwać się godzi.

Nieliczny on jest, ale bogaty. Przedewszystkiem spotykamy szereg dziełek ludowych kobiece-

go pióra; zbioru książek, dla młodzieży niema, choć wiadomo jak wiele na tem polu zdziałały kobiety, szereg tylko roczników: *Małego Światka* świadczy o niezmordowanej pracy i umiejętnem kierownictwie jego redaktorki, p. Lewickiej.

Dwa punkta zwrotne w naszem piśmiennictwie i w zapatrywaniu na kwestyą kobiecą, znamionują biusty dwóch znakomitych naszych autorek — Elizy Orzeszkowej i Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Dokoła tej ostatniej widzimy zbiór nazwisk i wizerunków kobiet zasłużonych w piśmiennictwie, a więc; Ziemięcką, Drużbacką, Żmichowską, Ilnicką i wiele, wiele innych. Niemało jest jednak nazwisk wybitnych a niewiadomo dla czego tu pominiętych. Jednę ścianę zajmują tablice z szeregiem paruset nazwisk kobiet, które zdołały osiągnąć laury uniwersyteckie. Poniżej gablotka z ich doktorskiemi i innemi naukowemi pracami. Trud niesłychany zgromadzenia tych rozproszonych po świecie nazwisk i utworów zadała sobie czcigodna działaczka na polu rozbudzania ruchu umysłowego u kobiet w Galicyi p. Stefania Wechslerowa przewodnicząca: „Czytelni kobiecej.“

Mnóztwo jeszcze wytworów rąk i pracy kobiecej znajdujemy rozproszonych po innych pawilonach, jako to: Przemysłowym, Wydziału krajowego, Sztuki i t. d.

O tych zaś, jak również o innych wybitniejszych na naszej wystawie, pomówimy w następnej korespondencyi.

W. N.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich utworzona zostanie przy ministeryum spraw wewnętrznych kommissya specyalna, dla uporządkowania kolonizacyi na wschodzie. Kommissya ta zostawać będzie pod przewodnictwem dyrektora departamentu spraw ogólnych.

— Ministeryum skarbu powierzyło czasowo byłym mechanikom gubernialnym rewidowanie kotłów parowych. Pensye pobierać będą od rządu.

— Po wystawie petersburskiej narzędzi ogniowych, odbędzie się z kolei druga taka wystawa w Moskwie, co nastąpi w roku przyszłym.

— W ciągu ubiegłego roku szkolnego Warszawa liczyła 566 zakładów naukowych, w których kształciło się 25.762 uczniów i 10.091 uczennic, razem uczącej się młodzieży było w mieście naszem 35.803 osób.

— Budowa kościoła Ś-go Augustyna posuwa się szybko. Wzniesiono już mury wszystkich naw, wykończono niemal zupełnie wieżę sygnaturkową, główna wieża w fasadzie jest na ukończeniu. Wszystkie szczyty form karpowych, oraz kolumny i nałęcza fasady są z różowego piaskowca; cały system budynku jest bazylikowy, nawy boczne niższe są od głównej, która jest od nich dwa razy szersza. Filary z pilastrami oddzielają nawy od siebie, wielkie okna nawy głównej są okrągłe, boczne zbudowano na zasadzie prostokątów wydłużonych, łukami zamkniętych. Fasada świątyni sprawia wrażenie poważne.

— Gerson podniósł w *Kuryerze Warszawskim* zasługę budowniczych naszych, starających się aby wznoszące się budynki posiadały styl oryginalny i niepowszedni. W skutek tego projektuje aby „dla pamiątki ich zasług i dla wiadomości tak współczesnych, jak i historyków sztuki“ zechcieli na drzwiach wznoszących się budowli zamieścić nazwiska swoje, oraz datę wzniesienia budowli. Nazwiska te brzmiałyby: Brauman, Dziekoński, Goldberg, Kozłowski, Loewe, Szyller.

— W rynku Starego Miasta wznosząca się kamienica pod Nr 31, mieści ciekawy zabytek archeologiczny, przedstawiający bogaty motyw artystyczny. Są to oddrzwia kamienne, ozdobione rzeźbą gotycką w stylu XV, lub pierwszych lat XVI wieku. Szkoda jest to wielka, że nieocenione dostatecznie, zostały zeszpecone przez grubą powłokę wapna.

— Na przedmieściu Kijowa w skutek osunięcia się ziemi ukazało się pięć pieczar, z których pierwsza przedstawia podziemię półtrzecia sążnia długie, wysokości odpowiadającej wzrostowi dorosłego człowieka. Łączy się ona wązkiem, niskiem przejściem z drugą. Następne trzy pieczary poprzedzone są korytarzami. Prof. Antonowicz zajął się ich zbadaniem.

— Pieczary w Luglochu pod Gracem, rozsławione przez nieszczęśliwy wypadek, którego były teatrem, zostały zbadane. Założywszy najpierw aparat sygnałowy, na długości 300 metr., oświetlono pieczary i zdjęto fotografie ich wnętrza, a dyrektor górniczy Setz, dokonał pomiaru ich wnętrza i zdjął plan, na podstawie którego oświadczył, że udostępnić je można bez wielkiego nakładu, bo potrzebne tu prace przedstawiać mogą wydatek 600 do 1.000 złr.

— W Zakopanem przebywa obecnie przeszło siedemset osób. Spór o Morskie Oko nie jest dotąd załatwiony. Chociaż krakowski sąd apelacyjny nakazał wstrzymanie wszelkich kroków prawnych, aż do roztrzygnięcia sporu o granicę, a sąd apelacyjny węgierski zawiesił wszelkie czynności swoje w tej sprawie, książe Hohenlohe nie usunął dotąd słupów granicznych nad Morskiem Okiem, a niższe władze węgierskie pomagają mu do rozmaitego rodzaju nadużyć. Mimo tych drażniących nieprzyjemności zjechało się już tam dość gości; sprowadzona z Krakowa muzyka ożywia zebrania, park na Antonówce jest zawsze pełny, gdzie też otwiera się przed oczyma widza wdzięczny krajobraz: cała dolina Zakopanego i widok na Tatry.

— Prof. Walner przedstawił wiedeńskiemu Towarzystwu architektów i inżynierów sprawozdanie co do wynalezionej przez siebie maszyny latającej, nie dotykając przecież szczegółów, które są jego tajemnicą. Ogólne zasady budowy są bardzo proste: maszyna ma kształt łodzi, ze wszech stron zakrytej, wydłużonej walcowato, z otworami po bokach dla obserwowania miejscowości. Podróżników może się tu pomieścić szesnastu, motor posiada siłę stu koni, porusza go siła ścieśnionego powietrza, właściwy przyrząd lotu składa się z trzech par kół zaopatrzonych jakoby w skrzydła ptaków, które funkcyonują też podobnie i obracają się w dwóch kierunkach. Obrót owych skrzydeł i kół tworzy zgęszczenie się powietrza, które służy do wzlotu. Przyrząd kierunkowy naśladuje lot ptaków, które podnosząc i opuszczając skrzydła, zwracać się mogą w stronę, gdzie lecieć pragną. Sprawozdanie Welnera zastanowiło zgromadzonych słuchaczy i obstalowano już u niego model maszyny z zamiarem wypróbowania jej w praktyce. Welner jest professorem mechaniki w wyższej szkole technicznej w Brunn.

— W Szwajcaryi odbyła się uroczystość literacko-artystyczna w miasteczku Avenches, położonem w kantonie Vaud, znanem jako *Aventicum* w czasach, gdy było stolicą rzymskiej Helwecyi. Wśród gruzów starożytnego amfiteatru, porosłych trawą, przedstawiano dramat, pod tytułem: „Julia Alpinala“ osnuty na tradycyi miejscowej, a napisany przez młodego poetę szwajcarskiego, Adolfa Ribeaux. Dramat ten napisany został na żądanie Towarzystwa, zawiązanego w celu, aby historyczne miejscowości nie zagładzały swoich tradycyi; z drugiej strony działa też w tym samym kierunku Tow. Literackie, które pragnie, aby twórczość literacka nie schodziła do banalnych motywów życia codziennego.

— Heine nie otrzyma pomnika w Düsseldorfie, rada miejska nie chciała na to przystać ze względu na moralne braki jego charakteru. Niemiec przyjmował pensyę od rządu francuzkiego i w ogóle nie liczył się z moralną stroną życia. Wielbiciele jego talentu chcąc sprawę poprzeć, rozesłali kurendy do wyżej cenionych pisarzy, najwyżej pod tym względem postawieni w Düsseldorfie poeci: Dahn i Rosseberg, nic nie odpowiedzieli i w ogóle zdanie Rady Miejskiej stało się ogólnie przyjętem a w jednym z miejscowych dzienników ukazał się artykuł kobiecego pióra, podpisany: „Marya,“ w którym dowodzi, że nie talent zdobi i podnosi pisarza, ale tkwiąca w nim idea.

— WIELICZKA. W niedzielę, d. 22 Lipca 1894 r., urządza się zwiedzenie sławnych w całym świecie kopalń wielickich. W tym celu będzie kopalnia rzęsiście oświetloną, a nadto urozmaicą pobyt Szan. Publiczności w kopalni ognie sztuczne i jazda piekielna. Biletów wstępu nabyć można wyłącznie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Rynek, linia A—B, w restauracyi i kawiarni Piotra Porzyckiego, Rynek, Nr 17, I-sze piętro w Krakowie, oraz w Wieliczce przy kasie. Cena biletu dla jednej osoby 2 złr. 50 ct. bez zjazdu i wyjazdu machiną parową. Bilet dla jednej osoby ze zjazdem i wyjazdem maszyną parową 2 złr. 80 ct. Z przesyłką pocztową o 20 ct. więcej. Wejście i zjazd do kopalni odbywa się o g. 1 i 2 po południu. Cena biletu omnibusem z dworca kolei w Wieliczce do szybu „Rudolfa“ albo z szybu „Rudolfa“ do dworca kolei w Wieliczce 20 ct.— Również odchodzą omnibusy z Wieliczki do Krakowa o g. 4, 6, 8 i 10 wieczorem. Pociąg osobowy odchodzi z Krakowa do Wieliczki o g. 12-ej w południe, a z Wieliczki do Krakowa o g. 6 m. 10 wieczorem. Palenie tytoniu i cygar w kopalni i szybach jest wzbronione. Przewodnik ilustrowany kopalni można nabyć przy zakupnie biletów.

Sprostowanie.

— W numerze 26-tym „Bluszczu“ na str. 213, w szpalcie 1-ej, wierszu 23 od dołu nazwisko ucznia klassy waltornii powinno być „Dawidowicz.“ Na tejże stronicy w tejże szpalcie w wierszu 20 od dołu zamiast „Janina Perozner,“ powinno być: „Panowie: Pewzner i t. d.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner,“ przekład z angielskiego, T. II, ark. 7.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Z Anwerpii, przez F.—Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my T. II, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — Przegląd mód.— 38 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.**
Дозволено Цензурою.—Варшава, 29 Іюня 1894 г.